Rok XXIV. We Lwowie, dnia 30. listopada 1917. Nr. 48.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 13·— K.
półroczna . 7·— „
kwartalna . 3·50 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Od redakcyi.

Znaczne podrożenie papieru i kosztów druku zniewala nas do podwyższenia prenumeraty Gazety Kościelnej. Od N. Roku prenumerata roczna wynosić będzie 17 koron, półroczna 9 kor., kwartalna 4·50 K. Mamy nadzieję, że to nieznaczne stosunkowo podwyższenie nie skłoni żadnego z Czcig. Współbraci do odmówienia dalszego poparcia naszemu pismu, które stara się wedle sił swoich strzedz interesów religii i Duchowieństwa, które też zyskuje sobie coraz nowych przyjaciół i współpracowników, musi jednak zawsze jeszcze walczyć z trudnościami finansowemi i dlatego nie może się należycie rozwinąć.

W sprawie udziału Duchowieństwa w pracy społecznej [1]).

I. „Żal mi tego ludu". (Mar. 8, 2.). Te serdeczne, tchnące litością słowa wypłynęły z ogniska Boskiej miłości na widok rzesz ludu zgłodniałego. Niebawem przyoblekły się w czyn; wszyscy „jedli i najedli się" (Mar. 8, 8). Godnem jest pilnej uwagi szczegółowe opowiadanie Ewangelii, jak Pan Jezus zwraca się najprzód do Swych najbliższych, wybranych uczniów, stawia im pytania tak, że znajdują się w pewnem zakłopotaniu, wprost przy podobnej sposobności daje polecenie: „Dajcie im wy jeść!" (Mat. 14, 16). Tak pobudza Apostołów do namysłu, do rozglądania się za środkami, a gdy te okazują się niewystarczające, wkracza z Swą wszechmocą: „pojrzawszy w niebo błogosławił". Cud spełnia jednak przez pośrednictwo uczniów: „dawał uczniom swoim, aby przed nie kładli i kładli przed rzeszą" (Mar. 8, 6). To też dla tych pierwszych kapłanów Chrystusa były te prześliczne, Boskie słowa: „Żal mi tego ludu" hasłem w ich zbawczej działalności; świadczy o tem zbieranie jałmużny dla potrzebujących, zajęcie się ubogimi w Jeruzalem i inne ich czyny. Te słowa były jasnem słońcem, którego ciepłe promienie rozchodziły się po przez wszystkie wieki i czasy za pośrednictwem kapłanów; one dawały życie niezliczonym przytułkom dla rozmaitej nędzy ludzkiej, stwarzały osobne dla tych celów zakony. Te słowa pobudziły Namiestnika Chrystusowego, że w obecnej dobie wyjątkowych potrzeb zwraca się do całego chrześcijaństwa za nieszczęśliwą Polską i wyciąga rękę dla nas o datki; poprowadziły książąt Kościoła do nękanych różnorodną biedą owieczek, by ich dźwignąć, łzy otrzeć, pokrzepić; zachęciły kapłanów, że za ich wzorem poświęcają się na wyścigi pracy nad potrzebującymi. To zajęcie się młodzieżą, a zwłaszcza sierotami, to rozdawanie chleba po parafiach (t. zn. aprowizacya), ta troska o dostarczenie środków do życia codziennego lub o wzniesienie mieszkania, ta zapobiegliwość o składanie zasobów w kasach oszczędności, o podniesienie oświaty czy wydatności roli i inne tym podobne dzieła — to promienie tego Bożego słońca miłości, to cudowne owoce tego słowa: „Żal mi tego ludu!".

Nigdy tu nie zniechęcało i dzisiaj nie może zniechęcać natręctwo, niewdzięczność lub cokolwiek innego, co jest naturze ludzkiej niemiłem, bo przy świetle Bożem widzimy w utrapionym osobę od Pana ukochaną, owszem samego Chrystusa Pana. Sam przyrzeka: „Zaprawdę powiadam wam, cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci Moich najmniejszych, Mnieście uczynili" (Mat. 25, 20). Nigdy tu nie przerażała i dzisiaj przerażać nie może wielkość ofiar potrzebnych i poświęcenia, bo przy tem świetle ukazuje się obfita zapłata. „Dawajcie a dadzą wam; w zanadrza wasze oddadzą wam miarę dobrą i natłoczoną i potrzęsioną i opływa-

[1]) Referat X. Dra Stan. Dutkiewicza, rektora semin. duch., odczytany na zebraniu XX. Dziekanów w Tarnowie w dniu 15. listop. 1917.

jącą“ (Mat. 6, 38). „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią“ Mat. 5, 7). Nawet brak środków nie może tu odstraszać, bo pracy szlachetnej, podjętej z konieczności w Imię Pańskie, Pan udzieli Swego wszechmocnego błogosławieństwa. „Proście, a będzie wam dano“.

O, Boską jesteś gospodo Kościoła św., w której zranieni przez grzech bezpieczny znajdują przytułek. W tobie miłosierny Samarytanin pełni dalej swoje wzniosłe dzieło; przez Swych uczniów wybranych leczy nie tylko rany duszy, ale i różnorodne dolegliwości ciała. Wdzięcznymi być Mu muszą ci uczniowie, że ich przed innymi wybrał, że zaszczycił powołaniem do tak wzniosłego dzieła.

II. Ta działalność kapłańska nad przyniesieniem ulgi bliźnim w sprawach doczesnych, zwana obecnie pracą społeczną, ma w dzisiejszych warunkach obszerne przed sobą pole; jest nową nie co do istoty, ale co do różnych objawów — więc przy ułomności ludzkiej łatwo zejść może na manowce. Potrzebuje pewnych wskazówek, ograniczeń.

1. Według starej rady należy wśród czynności przedewszystkiem na cel się oglądać. „Quidquid agis, prudenter age et respice finem“. Jakiż cel ukazuje Pan Jezus Swoim kapłanom, do czego ich wzywa? Pouczono nas o tem w przemowie przy przyjęciu presbyteratu: „Sacerdotem oportet offerre, benedicere, praesse, praedicare et baptisare“ (Pontif. rom. in ordin. presb.). Nie wolno kapłanowi przed tem zadaniem, przed pracą nad duszami żadnemu innemu zajęciu dawać pierwszeństwa. Gdy w pierwotnym Kościele wskutek wzrastającej liczby wiernych dużo dawała do czynienia opieka nad ubogimi, gdy stąd wkradają się pewne nieporządki, pierwsi kapłani Chrystusa śmiało określają swe stanowisko w tej sprawie: „Nie jest słuszna, abyśmy opuścili słowo Boże a stołom służyli“; każą wybrać zdolnych do tego mężów i wyraźnie wskazują na swe główne zadanie: „A my modlitwy i usługowania słowa pilnować będziemy“ (Dzieje Ap. 6, 2. 4). Nie byłoby tedy słuszną rzeczą, ani godną posła Bożego, gdyby dla zajęcia się biedą doczesną nauka w kościele lub szkole doznawała uszczerbku: była pomijaną lub traciła na gruntowności. Kapłan taki sam na siebie musiałby wydać wyrok: „Biada mi, jeślibym nie przepowiadał!“ (I. Kor. 9, 16). Dodam: godnie, należycie nie przepowiadał, bo tu sprawa Pańska, a „przeklęty, kto czyni sprawę Pańską zdradliwie“ (Jer. 48, 10). Jeszcze bardziej nie byłoby słuszną rzeczą, ani zgodną z powołaniem ojca duchownego, gdyby „dziatki prosiły chleba, a nie było, ktoby im ułamał“ (Tren. 4, 4), gdyby dla pracy społecznej zaniedbano konfesyonału, ociągano się z posługą do chorego, gdyby nabożeństwa skracano, odprawiano niedbale i nie w swoim czasie. Nie byłoby wreszcie rzeczą słuszną, gdyby miała osłabnąć „ofiara chwały“, jaką składamy przez odmawianie brewiarza, gdyby miało zabraknąć czasu na modlitwę, która kapłanowi daje siłę i podporę, użycza namaszczenia w pracy, sprowadza błogosławieństwo niebios. Ta medytacya codzienna, te nawiedziny Najśw. Sakramentu, ten hołd, składany codziennie przez odmawianie różańca Królowej Apostołów, słowem, modlitwa kapłańska — to rzecz nie obojętna, bo z jej ustaniem ustaje życie duchowne kapłana i dlatego Apostołowie obok obowiązku głoszenia słowa Bożego na równi modlitwę kładą; owszem pierwszeństwo jej dają: „A my modlitwy i usługowania słowa pilnować będziemy“. Zrozumiałą to rzeczą, że głównem miejscem działalności kapłana — to kościół i ołtarz; z zaniedbaniem też kościoła może kapłan spełniać rozliczne zadania, ale sprzeniewierzy się swemu powołaniu. „Omnis Pontifex... pro hominibus constituitur in iis, quae sunt ad Deum“ (Hebr. 5, 1). To pierwsze zastrzeżenie; płynie ono z natury powołania kapłańskiego.

2. Drugie wynika z właściwości pracy społecznej. Wszak nie jest ta praca tylko chwilowem dźwignięciem ciężaru, ale toczeniem przed sobą taczki podjętych obowiązków wytrwale, chociażby i ręka drętwiała, chociażby pot rzęsisty lał się z czoła; nie polega ta praca na chwilowem zagrzaniu zziębłego, ale na ciągłem tchnieniu ciepła miłości i darzeniu światłem tam, gdzie zimno i ciemno. Powinien więc kapłan, podejmujący się pracy społecznej, zawczasu rozglądnąć się za pomocą, wyszkolić obok siebie lub na odpowiednich kursach przygotować siły, któreby go wśród rosnących zajęć wsparły albo zastąpiły, gdy jego własne siły słabnąć będą albo go opuszczą. To niezbędny warunek ciągłości i trwałości pracy. Bez tego dzieło i najpiękniejsze z ubytkiem kapłana, jego twórcy, runie a ludność może być narażona na ogromne straty. Wszędzie ma swą wagę nauka Mędrca Pańskiego: „Lepiej dwiema być społem, niż jednemu, albowiem mają pożytek z swego towarzystwa. Jeśli jeden upadnie, drugi go podeprze. Biada samemu!“ (Eccle, 4, 9. 10). — Przybranie innych do pomocy w pracy społecznej uchroni nadto kapłana przed złośliwym zarzutem, że duchowni pragną sami wszystko opanować, sami jedynie rządzić i błyszczeć. Czy nie bywa niekiedy ten zarzut prawdziwym? Wreszcie towarzysze w pracy, wtajemniczeni we wszystkie szczegóły, wystąpią w obronie godności kapłana w razie niepowodzenia lub niesłusznych napaści na jego postępowanie, przynajmniej służyć muszą za najpewniejszych świadków.

3. Wzgląd na godność kapłana, jego dobrą sławę każe przyjąć trzecie zastrzeżenie: nieodzowna jest konieczność zapisywania i to bezzwłocznie tego, co wpływa i tego, co się wydaje, gdy w danym rodzaju pracy społecznej jest obrót pieniężny; czyli: trzeba koniecznie prowadzić pilnie i sumiennie książki rachunkowe. Jeżeli w tak świętych sprawach, jak Msze, jak datki kościelne, bywają trudne do rozwikłania niejasności, skoro brak zapisków — to co się stanie ze sprawami codziennemi, co z zajęciami, w których ciągły jest obrót pieniężny, gdy się zaniedba przepisanej rachunkowości? Nic tu nie znaczy powoływanie się na własną pamięć; nie jest dostatecznem tłumaczenie się, że się zastawia własną kieszenią; nie wystarczą świstki jakieś, na których się czyni notatki. Jeżeli kapłan nie chce narazić siebie i stanu całego na ciężkie podejrzenia, albo i wielkie zawstydzenie, jeżeli lud chce uchronić przed stratami, jeżeli mu chodzi o dobro sprawy

— to musi koniecznie prowadzić rachunki, i to nie według swego widzimisię, nie samowolnie, ale ściśle według przepisanej normy. Silnie tu zaznaczyć należy, że musi być wykluczoną z rachunków publicznych wszelka samowola, bo u nas tak łatwo ona się wkrada wskutek różnych principiów moralnych, oczywiście źle zastosowanych lub wskutek naciągania rozmaitych zasad. Gdy np. kapłan jest na czele kilku instytucyi, nie wolno mu wbrew statutowi działać i jedną instytucyę ratować drugą. Krzywdy się wprost w takich wypadkach nie dopuszcza, ale przecież wkradają się przez to nadużycia, zamieszanie, a ostatecznie sprawa albo i członkowie dużo na tem cierpią. Wypadki się przydarzają, ale trudno je tutaj rozwijać, by nie zabierać zbyt wiele czasu. Jak więc każdej chwili mamy być gotowymi do spełnienia rozkazu Najwyższego Sędziego: „Zdaj sprawę z włodarstwa twego" (Łuk. 16, 2) również zawsze tak do zdania sprawy ludziom z rachunków. Stosować się trzeba do wezwania Mędrca: „Gdzie jest wiele rąk, zamykaj; i cokolwiek wydasz, policz i zważ, a co wydasz i weźmiesz, zapisz" (Eccli. 42, 7).

4. Jeszcze jedno zastrzeżenie ze względu na godność, a dodam i cnotę kapłańską. Nie godzi się kapłanowi osobiście prowadzić sprzedaży w sklepie. Dziwnie jakoś i nie swojsko przedstawia się wśród towarów i targu widok osoby, która ma za chwilę głosić wzniosłe prawdy Ewangielii, w konfesyonale być powiernikiem najtajniejszych poruszeń serca, która spełniać ma najświętsze czynności. Rewerenda w otoczeniu sklepowego zgiełku, to jakby pomieszanie świętości z pospolitością, „sacra profanis". Czyż dalej może się obejść bez niebezpieczeństwa dla cnoty kapłańskiej to długie przebywanie w otoczeniu — jak zwykle — żeńskiego personalu sklepowego? Czyż podobna wobec przychodzących do sklepu zachować powagę, dla kapłana niezbędną? Czyż możebna nie wystawić się na podejrzenia chciwości, wyzysku? A ta strata czasu dla kapłana tak drogiego, tak koniecznego na przygotowania się do szkoły, na ambonę! Nie, nie w sklepie, i nie przy wadze i mierze miejsce dla kapłana. Szkód stąd wynikłych nic nie zdoła zrównoważyć. Prawie podobne przyczyny przytoczyć możnaby przeciw zajmowaniu przez kapłana urzędu kasyera w kasach Raiffeisena. Tu i tam wystarczy nadzór lub udział ogólny. Jaka jest pod tym względem myśl Kościoła, poznać można z zakazu, by kapłani w instytucyach finansowych wcale udziału nie brali. Jeżeli u nas jest inaczej, to dzieje się to za dyspenzą papieską i to ograniczoną na krótki przeciąg czasu.

Ale wróćmy jeszcze do Ewangelii. Na widok biedy ludzkiej odzywa się w Sercu Pana Jezusa litość; płyną słowa współczucia: „Żal mi tego ludu"; za niemi idzie czyn wszechmocy. Cud jednak spełnia Boski Zbawiciel przez ręce swych wybranych uczniów, daje im polecenie: „Dajcie im wy jeść". Odnosi się ono do kapłanów wszystkich miejsc i czasów. Zajęcie się ze strony kapłanów dolą ludności i w sprawach materyalnych zgodne jest z duchem religii Chrystusowej, ta litość nad cierpiącymi jest nakazem powołania kapłańskiego. Trzeba jednak pracę społeczną kapłana uchronić przed wybujałościami, usunąć z niej błędy, które do spraw ludzkich tak łatwo się wkradają. Podniosłem niektóre; Najczcigodniejsze Zebranie może jeszcze i inne poczyni zastrzeżenia[1]). — Podnieść jeszcze należy, że lud przez Pana Jezusa nakarmiony cudownie szuka Go, pragnie Go królem obwołać. Niechże to będzie celem kapłańskiej pracy społecznej: podniesienie i ugruntowanie królestwa Bożego na ziemi. Za przykładem Apostołów niech się kapłani trwale trzymają Pana; niech działają dla Jego chwały, w dobrej intencyi, nie dla zdobycia poklasków, nie dla uznania w gazetach a już — broń Boże! — nie dla marnego zysku; niech podejmują się pracy na rozkaz Pański, w związku z Jego Zastępcami i według ich wskazówek. I lud wtenczas pilniej szukać będzie Pana Jezusa, bo słowa kapłana łatwiej znajdą w jego sercu przyjęcie; będzie ten lud słuchał Pana wierniej, w całem postępowaniu uzna Go za króla, spełni się prośba nasza codzienna: „Przyjdź królestwo Twoje!".

Nie łudźmy się!

Lubię obserwować sam siebie i swe własne przeżycia rozważać; lubię też obserwować swoich konfratrów, ale w dobrej myśli. Z własnego doświadczenia i z obserwacyi innych księży widzę, że mielibyśmy o wiele znośniejsze życie, o całe stosy mniej zawodów w życiu, o wiele byłaby skuteczniejszą nasza praca, czy w kościele, czy społeczna, gdybyśmy nie podlegali tylu a tak wielkim złudzeniom! Otóż chciałbym część przynajmniej tych złudzeń i to część najważniejszą dziś rozwiać. Może niejednemu będzie trochę przykro rozstać się ze swemi złudzeniami, ale ręczę, że będzie bardzo zdrowo i dla jego pracy i życia bardzo to błogie skutki mieć może.

Na ogół podlegamy złudzeniu, zwłaszcza młodzi księża, że w świecie nas bardzo szanują, że uważają nasze stanowisko za bardzo zaszczytne. Nasłucha się i naczyta taki młody ksiądz w seminaryum, co to jest kapłan, jaka to wielka godność, że wyższej na świecie niema, czem to on nie będzie, jaką ma straszną władzę itp. Rzecz całkiem naturalna, że takiemu młodemu księdzu po części przewraca się w głowie. Zdaje mu się, że cały świat powinien być dla niego pełen szacunku, że wszyscy powinni go pierwsi witać, na pierwszem miejscu sadzać, starsi nawet świeccy powinni mu ustępować, powinni się z jego zdaniem wszyscy liczyć, jednem słowem powinni wszyscy pamiętać, że on jest „sacerdos in aeternum, alter Christus" i t. p. Tymczasem następuje niedługo gorzkie rozczarowanie.

Że godność kapłana jest niesłychanie wielka, nikt wierzący po katolicku temu nie przeczy. Ale że kapłan, choć jest księdzem, nie przestaje być człowiekiem, że kapłaństwo nie przyczynia wieku ani nie robi samo jeszcze nikogo ani świętym, ani roztropnym — o tem nie-

[1]) Szanowni Czytelnicy naszego pisma może rozwiną w niem dyskusyę na temat uchybień, których kapłan strzedz się winien w pracy społecznej. (Przyp. Red.).

kiedy księża, zwłaszcza młodsi zapominają. Owszem wpadają w ten błąd, że Sakramentowi kapłaństwa przypisują działanie i skutki, których on nie wywołuje.

Czasem zdaje się młodemu księdzu, że on od drugich, tj. świeckich mądrzejszy, że powinni jego zdanie wysoko cenić, że jego postępowania czy zdania nikomu ze świeckich krytykować nie wolno. A przecież Sakrament kapłaństwa z mądrością i nieomylnością w mowie czy postępowaniu nie ma nic wspólnego.

Więc nie łudźmy się, że naszego zdania muszą świeccy posłuchać, że nas zawsze uszanują, jako mądrzejszych, że przez to, iż jesteśmy księżmi, musimy być mądrzejsi i o wszystkiem swoje zdanie możemy wydawać i to nieomylne! Owszem, przez takie wyobrażenie narażamy się na śmieszność i lekceważenie.

Podobnie ma się z naszem żądaniem szacunku z tego tytułu, że jesteśmy księżmi. Pewnie, że nam się szacunek należy, — ale musimy zastanowić się, dlaczego się należy i od kogo i kiedy? Należy nam się szacunek, jako zastępcom Chrystusa. Więc wtedy będziemy go mieli, gdy będziemy żyli, jak Chrystus. Jeśli ludzie widzą nasze błędy, jeśli zbyt jaskrawo nasze ułomności się objawiają, to ludzie w nas widzieć będą tylko człowieka ułomnego, ale nie Chrystusa. A nadto dla kogo ksiądz jest dzisiaj „alter Christus“, dla kogo znaczy dużo jego władza, kto w nim uznaje Sakrament kapłaństwa, który daje władzę najwyższą? Tylko ten, kto jest dobrym i wierzącym katolikiem, ten, co potrzebuje kapłana i korzysta z jego usług. A ilu takich dziś prawdziwie wierzących ludzi, ilu ceni w kapłanie głównie i przedewszystkiem godność kapłańską i Sakrament! Na palcach można ich policzyć w każdej parafii. Ale nawet i człowiek wierzący nie może mieć jednakiej czci i zaufania do każdego księdza. Człowiek nie da się ukryć w księdzu, a ludzie na ogół zawsze więcej widzą w kapłanie człowieka, aniżeli pośrednika między Bogiem a ludźmi. Nieraz słyszałem zdanie: „Czczę go w kościele, jako księdza, ale jako człowiek, niewiele on u mnie warta“.

Więc nie łudźmy się naszą godnością kapłańską, że nią samą możemy dziś naszym parafianom a tem mniej, że możemy innym „wiernym“ imponować. Dziś nasze kapłaństwo u ogółu bardzo mało znaczy. Dziś ludzie nie tyle liczą się z księdzem dlatego, że on księdzem, ale dlatego, że jako człowiek, jako obywatel, jako gospodarz, jako uczony, jako człowiek moralny i godny czci na to zasługuje.

Jeśli więc chcemy dziś na świecie coś zdziałać, a zarazem uniknąć gorzkich zawodów, musimy o tem pamiętać, że nasza suknia duchowna nie tylko nam wobec świata dzisiejszego tytułu do mądrości ani do wyższości nie daje, — ale przeciwnie, dziś nasza suknia duchowna daje nam tytuł u bardzo wielu — niestety — do uznawania nas za zacofańców i darmozjadów. Gorzka to prawda, ale prawda, a kto z nas dłużej je chleb kapłański, ten miał chyba dość czasu i sposobności o tej prawdzie się przekonać. Zwłaszcza nasza inteligencya z małymi wyjątkami nam to przy każdej sposobności pokazuje, że nasze kapłaństwo nic a nic im nie imponuje. Z tego też powodu inteligenci nasi zawsze odradzają młodzieńcom wstępowania do seminaryum i każdego studenta, co idzie na teologię, uważają za jednostkę wykolejoną, straconą. Najlepszy na to dowód, że dziś nie widzi się w naszych seminaryach synów urzędników, lekarzy, adwokatów itd.

To też, gdy młody ksiądz wchodzi w życie, gdy młody wikary zostaje proboszczem, niech o tem pamięta, by nigdy nie rościł sobie pretensyi do czci u swego otoczenia czy swych parafian, dlatego tylko, że jest księdzem. Ludzie nas obserwują na każdym kroku, przy każdym postępku, przy każdem słowie, — i z tego sobie o nas sąd wyrabiają, a szacunek musimy zdobywać z dnia na dzień, że tak powiem, po kawałeczku.

Prawda, że nasza godność nie jest dziś u nas w Polsce jeszcze bez znaczenia, bo bądźcobądź jeszcze chwała Bogu stanowisko nasze, jako duszpasterzy a zwłaszcza proboszczów jest pod wieloma względami wpływowe i każdy katolik, dość tylko z imienia potrzebuje nas niekiedy choćby do chrztu, ślubu i pogrzebu; ale godność nasza jest w oczach naszych parafian wyższa lub niższa, bo zależy od szacunku, jaki sobie wyrobimy naszem życiem i postępowaniem.

Czem możemy dziś imponować? Jeśli chodzi o inteligencyę, możemy cześć u niej zyskać tem, co oni najwyżej cenią, to jest wiedzą, roztropnością i taktem.

Jeśli chodzi o lud i sfery rzemieślnicze, to ci więcej patrzą na pobożność i serce kapłana. Ludowi imponuje także znajomość rolnictwa u księdza i spraw politycznych, — rzemieślnikom zmysł organizacyi i biegłość w sprawach ekonomicznych.

Wszystkim atoli, tak inteligencyi, jak ludowi, imponuje najwięcej życie kapłana, jego cnoty, a zwłaszcza serce prawdziwie ojcowskie, czułe na nędzę i niedolę bliźniego i oddane dobrym uczynkom.

X. J. K. K. w.

Ogarki rewolucyjne.

Studyum z psychopatologii rosyjskiej.

(Ciąg dalszy).

W sercach młodych budzi się żądza odwetu, którą, mimo swojej woli podsyca wynurzeniami Siergjej Siergjeicz. On bowiem nie waha się nazwać uważanych przez młodych za bohaterów, — „smarkaczami, bezbożnikami, dla których niema niczego świętego“. A mówi to w przeświadczeniu niezłomnem, bo czuje, że i do jego domu przypełzła zaraza... Ale też, słusznie zauważa jego żona, jakiż jest inny środek na cholerę, jak tylko — odgrodzić się od niej i czekać, dopóki sama nie wygaśnie?... Siergjej Siergjeicz wszelako pragnie dociec przyczyny tego dziwnego na pozór objawu i wnioskuje zupełnie rozsądnie:

— „Nie zważając na twoją skrytość — powiada do wychowanicy — rozumiem zupełnie twoją sympatyę dla tej szajki łotrów, którzy nie mogliby być cierpiani w żadnem przyzwoitem społeczeństwie... Przypuszczam, że pośród

tych domorosłych sanskiulotów są ofiary, że tak wyrażę się, teoryi utopijnych. Ale oni są bezwarunkowo szkodliwi. Przeciwko nim walczymy.. t. j. rząd. Lojalni obywatele, dla których drogą jest kultura, rozumieją, że dla ocalenia porządku przed chaosem anarchii musi się używać surowych kar... W historyi zdarzają się chwile, w których słabość władzy równa jest występkowi"...

Kiedy zaś wychowanica przyjmuje powyższą tyradę milczeniem, Siergjej Siergjeicz rozumie doskonale przyczynę tego milczenia, gdyż „złej krwi nie można zniszczyć". „Ukrywałem przed tobą — powiada — z delikatności ukrywałem... ale teraz wyjawię.. Być może, iż powstrzyma to ciebie na krawędzi przepaści... Przywykłem czcić... tak... czcić fundamenty... fundamenty rodziny, religii... Pierwszy cios tym przyrodzonym ideałom zadała moja siostra, twoja matka!... Nieszczęsna stała się ofiarą swojego lekkomyślnego uczucia dla fanatyka... zbrodniarza stanu. Zginęła z nim razem... Na wszystkie moje usiłowania, zmierzające do przyprowadzenia jej do rozumu, odpowiadała obelgami. Ale kiedy jej nie stało, postanowiłem ocalić jej dziecko... t. j. ciebie. Minister wezwał mnie na posłuchanie. Odważnie, otwarcie powiedziałem jemu: Ekscelencyo, dwuletnie dziecko niewinne jest błędów swoich rodziców. Po namyśle odrzekł: pan jest człowiekiem uczciwym... Dałem ci kąt rodzinny. Moja żona zastąpiła ci matkę... Teraz wiesz wszystko"...

Ale panna Natasza — zwyczajem rosyjskim — pluje na to wszystko, równie jak kuzynek jej Petia, który posyła wszystkich do stu tysięcy dyabłów... To też po lekcyi, zasłużenie otrzymanej od Siergjeja Siergjeicza — oboje młodocianych „rewolucyonistów" opuszczają dom, żeby poledz na barykadach...

Takich pseudo-rewolucyonistów, a nieszczęśników małoletnich w istocie, pochłonął smok anarchii rosyjskiej — tysiące...

* * *

Za najznakomitszą ilustracyę chaosu, jaki owładnął umysłami mas ludowych, oszołomionymi obietnicami, przechodzącemi najśmielsze oczekiwania demagogów wioskowych, może śmiało posłużyć powieść Radionowa p. t. „Nasze przestępstwa". Niewłaściwie poniekąd nazwać utwór ten powieścią, skoro jest on raczej kroniką zbrodniczości chłopstwa, obałamuconego przez agitatorów, kroniką tych chwil, w których t. zw. rewolucya przygasała na dobre.

I czyliż możnaby uczynić Radionowowi zarzut jednostronności, skoro rzeczywistość mówi co innego, skoro dzienniki niemal w każdym numerze podają opisy najróżnorodniejszych przejawów zbydlęcenia wsi rosyjskiej, jakie, rozpętane w okresie „rewolucyjnym", przetrwały dotąd bodaj czy nie w zdwojonej sile?

A skoro niema nawet cienia pozoru do posądzania go o wstecznictwo lub o przesadę, czy wreszcie o prosty wymysł, — to powieść Radionowa jest, że się tak wyrazimy, dokumentem życiowym, historycznym. Udowadnia bowiem niezbicie, że rewolucya sprawiła w umysłach ludu zamęt pojęć o moralności uczynków tak daleko idący, że wieś — rzec można — żyje rozwydrzeniem krańcowem, czyniąc z jednostek słabszych zbrodniarzy, mimowolnych nieraz, choć zdeterminowanych. A przytem unika starannie wszelkich sofizmatów, którymi radziby inni usprawiedliwić bodaj w części postępki tłumów zezwierzęconych.

Najlepszym zresztą dowodem tego, że Radionow nie przeciągnął struny, jest inna powieść innego, a znakomitego poety Bunina p. t. „Wieś". Patryoci istinno-russkije wytoczyli przeciwko autorowi działa najcięższego kalibru, zarzucając mu bez ogródki brak w sercu miłości ojczyzny! Co prawda — to Rosyi nie kocha on tak, jak my Polacy naszą ojczyznę, gdyż jak sam wyraził się w „Cieniu ptaka":

— „Ach, co się mnie tyczy, nie odczuwałem nigdy miłości do Rosyi i na pewno nigdy nie zrozumiem, czem jest miłość ojczyzny, jakoby wszczepiona w każde serce ludzkie. Wiem dobrze o tem, że można kochać ten lub inny ustrój życiowy, ale cóż to ma za wspólność z ojczyzną? Jeżeli rewolucya rosyjska przejmuje mnie więcej od perskiej, mogę jedynie ubolewać, że tak jest. Zaprawdę niechaj będzie błogosławiona każda chwila, w której czujemy się obywatelami wszechświata"...

Aleć tyrada powyższa zakrawa co najmniej na paradoks kosmopolityczny, na czczą fanfaronadę, na oczywiste przedrzeźnianie z uczuć!

Cóż — kiedy w Buninie serce się wzdryga na sam dźwięk wyrazu — „ojczyzna"! Wszak on dla niej niema nic ponad wzgardę krańcową, wszak wstyd go rumieni na dźwięk jeno jej imienia! On tę „lubą" ojczyzną radby wykreślić z karty świata, skoro stać go na wezwanie:

— „Nie chwalcie się, na miły Bóg, że Rosyanami jesteście! Dzikim jesteśmy narodem, sennym, rozlazłym, Ani Bogu świeczka, ani dyabłu ogarek"!...

I niepodobna odmówić słuszności takiemu zawołaniu serdecznemu, choć nie miłość je podyktowała. Wszak Bunin patrzał z blizka na fundamenty życia narodowego, których wyobrazicielem jest warstwa ludowa. I czego dopatrzył się na wsi?... Dopatrzył się faktów, od których włosy jeżą się na głowie, faktów, przerażających zarówno swoją obydą, jak i zezwierzęceniem. Jest bowiem wieś ta rosyjska schroniskiem nędzy ostatecznej, głupoty, rozpusty najwyuzdańszej, zwyrodnienia moralnego, zbrodniczości wszelkich możliwych do pomyślenia gatunków, obydy i brudu życiowego:

— „Wichurą miotła w przestrzeni śnieżyca, sypiąc drobne krupy śniegu na czarną, żebraczą wioseczkę, na pełną wyboi brudną drogę, na mierzwę końską, na lód, na wodę; wieczorna mgła przysłaniała pola bezkresne całą tę wielką pustynię z jej śniegami, lasami, wioskami i miastami, całe to państwo głodu i śmierci"... Ludzie tam biedni, wszak „orzą z górą lat tysiąc, a orać, jak potrzeba, ani jedna dusza nie potrafi. Roboty swojej jedynej wykonać nie potrafią. Ani jedna baba nie umie upiec należycie chleba. Lud! Sprośni w mowie, łgarze — i tacy bezwstydni, że ani jedna dusza nie ufa drugiej"...

Tradycyjnym tedy zwyczajem przodków swoich rzuca Bunin straszliwe przekleństwo na kraj swój rodzinny, jak gdyby za mało było tego jadu, żółci i goryczy, jakim zalał wszerz i wzdłuż „kochaną" matuszkę — Rosyę... Utrzymuję stanowczo, że gdyby — o czem zresztą mowy niema — nastał stan taki w Polsce, my nie bylibyśmy zdolni

ubóstwiać chamstwa i nędzy ludu, a już wcale nie pozostawilibyśmy go na łasce Opatrzności boskiej.

Boć chyba musi się nosić w duszy pogardę olbrzymią dla tego ludu, skoro wywleka się na jaw jego brudy i nieprawości haniebne! Kiedy zaś okazuje się, że i sfery „wyższe" nie różnią się niczem od chudopachołków, dokąd iść dalej, co począć, „czto diełat'?"...

Alеć też zważyć należy, iż biedny ten „naród" nosi we krwi swojej zarodki zła, odziedziczone po potomkach branek Złotej Ordy, zważyć należy straszliwe jego obciążenie dziedziczne, trwające po dziś dzień nieprzerwanie w całej swojej sile. Wiadomo zaś, że instynkty złe są znacznie trwalsze od dobrych!...

Naturalnym spraw tych smutnym efektem jest wyniesienie kultu cielesnego, ale to kultu, spaczonego w sposób mongolski, na piedestał wskazań życiowych. Jeżeli tedy twórcy-artyści pogrążyli się w mętach błota owej nie-mitologicznej stajni Augiaszowej, to wystawili tem samem jedynie fatalny dla swojego narodu dokument życiowy.

Dramat Zajcewa p. n. „Wierność" — to jakby przyczynek do psychopatologii seksualnej.

Jednostką zwyrodniałą jest literat Konstanty Iwanycz. Szereg lat przeżył szczęśliwie u boku kochającej go szczerze małżonki, — dopóki nie wyjechał na letnie pomieszkanie do Finlandyi, mające przynieść klęskę straszliwą kilku osobom równocześnie, a to dzięki głównie czysto-rosyjskiemu rozpasaniu zmysłów, o jakiem ludzie normalni nie mają wyobrażenia. Rozwydrzenie kobiet dochodzi krańców ostatecznych.

Czyliż można spodziewać się po szanującej się pannie oświadczenia następującego, które wypowiada tak naturalnym tonen, jak gdyby w danym wypadku chodziło o coś najpowszedniejszego pod słońcem. Na dobitek oświadczenie to wypowiada wobec męża swojej przyjaciółki:

— „I rozbiorę się. Cóż takiego? Chcecie zaraz? Ciało swoje kocham bardzo, to prawda. Rozumiecie, jak można kochać ciało? Przecież to rzecz rozkoszna... Byłam kiedyś dziewczęciem, teraz jestem kobietą, a ciało, jak dawniej, wspaniałe"...

Miłością bowiem nazywają tutaj wszyscy akt czysto fizyologiczny. O uczuciach niema wcale mowy. I nic dziwnego — skoro uczuć tych brak!..

Konstanty Iwanycz żył dotąd z żoną szczęśliwie, kocha ją w swojem rozumieniu, ale kocha również bawiącą w gościnie Dalę. O namiętności jego, jaka ciągnie męża ku Dale, wie doskonale żona, ale ani na chwilę nie stara się przeszkodzić romansowi, nie mdleje, ani nie urządza scen zazdrości, gdyż sądzi, że nie należy nikogo kochać, skoro kłamstwem jest życie, kłamstwem miłość... To też z przedmiotem zapałów miłosnych swojego męża, ową piękną Dalą, rozmawia najspokojniej i z prawdziwą szczerością o wszystkiem, pocieszając się nadzieją, iż zakochany mąż rychło zerwie miłostkę rzekomo przelotną, która przybiera kształty tem realniejsze, ile że Dala oddaje się Konstantemu Iwanyczowi, sama ciągnąc go w swoje ramiona.

Wobec tak beznadziejnej sytuacyi potykamy się tutaj co krok o zwierzęcość i cynizm najpodlejszego gatunku.

(Dok. n.). *Dr. St. Zdziarski.*

KRONIKA KOŚCIELNA.

Wysiedleńcy w Pradze (1917 r.). Od naszego Korespondenta. Czyś przeczuwał kiedy, ludu siermiężny z Zadrości i Palikrów, z Milna, Bieniawy i innych osad podolskich, że przepędzisz rok cały w stuwieżowej Pradze, która tak szczyci się swoją pięknością? Czyś przeczuwał, że zamiast w swej chatce rodzinnej, mieszkać będziesz w suterenach lub poddaszach niebotycznych kamienic — albo w opustoszałych salach „Variete", gdzie przed wojną zabawiały się najniższe warstwy Pragi? Mógłże kto rozumnie przypuścić kiedy, że na wojnie urodzi się pomysł, który chłopskie rodziny Deców, Jackowskich, Zacharczuków, Zajaców, rzuci z ich chaty aż o tysiąc kilometrów na zachód, do obcego, wielkiego miasta, gdzie roli nie mając, ani sobie, ani władzom, ani wojsku, ani nikomu nie mogli być użytecznymi — a gospodarstwo swoje musieli zostawić na rabunek, pola na zachwaszczenie. — Pomysł ewakuacyjny kosztował państwo miliony, a w rodziny wysiedlonych wszczepił gruźlicę, skrofulozę, po części i charłactwo duchowe.

Do Pragi zaraz na początku wojny przybyła wielka fala uchodźczej inteligencyi z Galicyi (por. „Gazeta Kośc." z r. 1916 str. 281 nn.), odpłynęła jednak do kraju prawie całkowicie już w 1915 r. W lecie 1916 r. przywieziono do Pragi z baraków choceńskich i gmundzkich trzy tysiące osób wysiedlonych ze wsi podolskich. Prawie wszyscy wysiedleńcy byli narodowości polskiej używali jednak w potocznej mowie przeważnie języka rusińskiego. Zamieszkali bądź według wskazówek policyi, bądź gromadnie w ogromnych salach tanecznych niższego rzędu, bądź z rodzinami w drugiej i siódmej dzielnicy Pragi i w okręgach przedmiejskich, zwłaszcza na Brzewnowie. Z powodu przebytych nieszczęść popadli w zupełną apatyę, która powiększała się głodowaniem i brakiem rolniczego zajęcia na bruku stolicy czeskiej. — Wchodząc do ich mieszkań, widziało się kobiety zatroskane tem, że dzieci, już przeważnie skrofuliczne, wołały wciąż: „mamo, jeść"! Widziało się mężczyzn starszych, o twarzy szarej, jak ziemia, siedzących na worach i łachach, wpatrzonych obojętnie przed siebie, pogrążonych w apatyi i tęsknocie dzikiej za zagrodą swoją. Rodziny ich porozrywane: zdarzało się, że w tej samej rodzinie jeden na linii bojowej, drugi w niewoli, inni zostali jakimś sposobem we wsi, inni spoczęli na cmentarzach Chocni i Gmündu lub gdzieś nad Soczą, a reszta tu jako rzesza do koczownictwa zmuszona, mająca jedną myśl, jedno pragnienie: wrócić do roli swojej, wyrwać się z tego sponiewierania wojennego. Pewna matka, gdy żandarmi nakazali wieś opuścić, zostawiła, nie zdoławszy pochować, dwoje dzieci na tapczanie, a reszta dzieci została w mogiłkach choceńskich.

Ludność praska w miarę wzrastania drożyzny coraz bardziej dokuczała wysiedleńcom, czyniąc ich sprawcami drożyzny w półmilionowem mieście, nazywając nawet: „szpinawe Polaki" (niestety w zachodniej Galicyi gdzieniegdzie także doskwierano uchodźcom). Inteligencya praska okazywała dość zrozumienia dla tych biedaków — a szczególnie ich dzieciom, dla których n. p. pewien nieznany przechodzeń, widząc je prowadzone ze szkoły, zmarznięte, dał 100 kor. na odzienie. Poważniejsze dzienniki czeskie odnosiły się dość przychylnie do chrześcijańskich wychodźców, ale były i takie (półurzędowe „Praskie Nowiny"), które prawie podjudzały przeciw nim, zapominając, że przecie przywieziony grosz i pobierana zapomoga rządowa zostawały w Pradze, a trzeba było płacić bardzo drogo za wszystko, np. za 1 kg. tłuszczu 50—60 kor. Wysiedleńcy żywili się w zimie i na wiosnę przeważnie brukwią i kapustą, bo o ziemniaki było bardzo trudno — a w lecie surowemi śliwkami i nowymi owocami. Aby dostać węgla, musieli nieraz po kilka nocy czekać, zbie-

rali w końcu afisze, papiery lub wyciągali gałązki Weltawą płynące. W braku nafty i świec świecili papierem. Poniżani coraz więcej, zwłaszcza gdy stali „we froncie“, u sklepów — coraz bardziej wpadali w przygnębienie i rozpacz.

Jak dla drzewa, przerzuconego na inną ziemię, słońce jest jeszcze ratunkiem, tak dla tej gromady, wyrwanej ze swej ziemi, słońcem pociechy była jeszcze modlitwa i nabożeństwo kościelne. Wprawdzie niektórzy zaczęli już ulegać niewierzącemu otoczeniu, słuchać miejscowych doradców z pod czerwonego sztandaru, judzących: „poco idziesz do kościoła, tam ci jeść nie dadzą“ — ogół jednak wytrwał w swojej religijności. Niektórzy z rozrzewnienia, że znaleźli swoje nabożeństwo, całowali posadzkę, jak to czynili w swoim kościółku wiejskim. — Zawsze był pełnym piękny barokowy kościół SS. Urszulanek (w pobliżu narodowego teatru czeskiego), które chętnie, bezinteresownie użyczyły go tej rzeszy nieszczęśliwej. Zacne zakonnice cieszyły się, że ich kościół pełen ludu rozmodlonego i rozśpiewanego i wielką dobroć okazywały szczególnie dziatwie. Lud nie przedstawiał już jednak krasnego, barwnego obrazu, jak w swoich kościołach, bo tylko kobiety jeszcze i to tylko częściowo zachowały właściwe barwne ubiory. Dziatwa mieściła się przed balaskami, kobiety po stronie epistoły, a po przeciwnej stronie mężczyźni, jak to kazał zwyczaj nasz ludowy. Idąc do spowiedzi, z przyzwyczajenia, że szeregiem stawali przed sklepami, także dwuszeregiem czekali u konfesyonału. Po sumie śpiewała biedna ta gromada całą duszą: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas Panie!“ X. arcyb. dr. Huyn, odbywając wizytacyę klasztoru, witając się też z wychodźcami, zwrócił szczególną uwagę na nasze suplikacye.

Księży, delegowanych dla uchodźców w Czechach, było czterech (wszyscy z lwowskiej archidyec.), a mieszkali w kolegium fundowanem dla akademików przez biskupa Arnosta z Pardubic. O ile pozwalały na to zajęcia szkolne i duszpasterskie w Pradze, czynili ci katecheci ekskursye po całej ziemi czeskiej, bo w zwyż stu miejscowościach znajdowali się wychodźcy grupami po kilka lub i kilkadziesiąt rodzin. Najwięcej takich kolonii zwiedził X. Dobija, opiekę zaś w kralobradzkiej dyecezyi objęli księża Misyonarze z baraków choceńskich.

Z wielkiemi trudnościami, po całorocznych staraniach w namiestnictwie praskiem i w ministeryum, jeszcze nie całkowicie zdołali księża delegowani uzyskać remuneracyę, nie dorównywującą nawet podurzędniczej. Nabożeństwa polskie zaprowadzili w Pradze także OO. Karmelici (jest wśród nich kilku Polaków), w kościele „na Slupi“, a teraz na Ziżkowie. — Oni też podjęli uciążliwą pracę w szpitalach. Duchowieństwo czeskie na prowincyi okazywało wielką serdeczność księżom dojeżdżającym do wysiedleńców. Niektórzy, jak np. X. dr. Szebesta w Beneszowie, prof. Matejka w Beronnie, uczyli w polskich szkółkach, starając się przyswoić sobie język polski.

Kościoły, zwłaszcza praskie, barokowe, są prawie inkrustowane relikwiami, wiernych jednak praktykujących bardzo mało. Religię w społeczeństwie czeskiem wyniszcza husytyzm, który z religijnej stał się ideą narodową, a nadto materyalizm. Jako w Beneszowie z świątyni katolickiej, zburzonej przez husytów, zostały jeno dwa okna absydy gotyckiej, tak możnaby powiedzieć, że z katolicyzmu w Czechach prawie tylko fragment pozostał. Wezwanie jednak „Ježiš, Maria“! co chwila jest na ustach i u tych, co się zupełnie niewierzącymi mienią. Zdarza się dość często, że nawet porządnie ubrany przechodzień zabobonnie spluwa, widząc księdza, zwłaszcza w sutannie, a to dla odpędzenia nieszczęścia. Zakonnice częściej się spotykają ze słowem *sluma* (pech), albo też idąc do kościoła, słyszą zapytanie: „Jeptiszko polska, procz idesz do kostela“?

Szkolnictwo czeskie, idąc za wzorem tradycyi Komeńskiego, stoi bardzo wysoko, ale brak w niem nietylko religijności, ale także zwykłego wychowania. Chłopacy potrafią w kościele w sposób szyderczy naśladować księdza mszę odprawiającego, albo nawet bić się podczas podniesienia. Zwłaszcza po robotniczych miasteczkach tak uchodźcy świeccy, jak i księża, spotykali się z kpinami antyreligijnemi ze strony chłopaków lub z wołaniem: „polski židi“! Zdarzyło się nawet na ekskursyi, że gdy ksiądz spowiadał dziatwę polską, ulicznicy wpadali do kościoła, wołając: „polski židi“!

Religijność naszego ludu, choć szczera, nie nawracała jednak Czechów ku Kościołowi, owszem może przeciwny skutek wywoływała; wysiedleńcy bowiem bez oświaty i nędzni przedstawiali raczej takich chrześcijan, jakimi chciał chrześcijan uczynić Julian Apostata. Nigdy nie okazały się w tak strasźliwych rozmiarach skutki ciemnoty, jak podczas wojny. Pamiętniki okażą to kiedyś, jakie tragiczne nieszczęścia, nędze i sponiewierania, tak dla poszczególnych osób jak i dla całego narodu wyniknęły z nizkiego jeszcze poziomu oświaty u ludu naszego, zwłaszcza we wschodniej Galicyi. Dola wysiedleńców naszych byłaby o wiele lepszą, gdyby więcej światła było między nimi: umieliby w niejednym wypadku dojść do praw swoich, zorganizować się i sobie w życiu radzić. W rozprószeniu niepodobna było ich skupić tym najłatwiejszym dziś sposobem, jakim jest dziennik, bo prawie nikt z nich dzienników nie czyta. Niektóre grupy wysiedleńców, zwłaszcza z „Gwintu“ — jak mówili (z Gmündu, z ruskiego baraku) — wysłane, nie pobierały nie tylko zapomogi rządowej, ale nawet zasiłku wojskowego, z powodu nieporadności, łączącej się z analfabetyzmem. Między wysłanymi na roboty bywało, że nie znając kontraktu, dawali się zmuszać do pracy rolnej nawet rano w niedziele, albo też nieświadomie łamiąc kontrakt, tracili kaucyę swoją i płacę.

(Dok. nast.) *Mkł.*

Rozłam w socyalizmie. Dawne hasło socyalistów, wzywające wszystkich proletaryuszy do utworzenia jednej olbrzymiej armii, należy już dzisiaj do historyi. Do zupełnego zaś rozbicia tego stronnictwa na walczące między sobą obozy przyczyniła się najwięcej wojna obecna. Nowym i szczególnym epizodem jest rozdwojenie, które wywołała u socyalistów austryackich sprawa polska. Dotąd występowali zawsze „towarzysze“ niemieccy jako przyjaciele naszego narodu, a posłowie ich, należący do parlamentu niemieckiego, przemawiali za odbudowaniem Polski. Teraz nastąpiła u nich i w Niemczech i w Austryi niespodziewana zmiana frontu ku wielkiemu rozżaleniu socyalistów Polaków, któremu poseł Daszyński bardzo wymowny dał niedawno wyraz w „Naprzodzie“.

„Zdawało się nam“ — pisze on — „że nietylko socyaliści krajów wolnych, ale przedewszystkiem socyaliści w Niemczech i niemieccy socyaliści w Austryi staną po naszej stronie, że poprą nas w tem dążeniu do zjednoczenia się narodu polskiego i do jego niepodległości. Doznaliśmy tu srogiego zawodu i rozczarowania. Podczas kiedy socyaliści rosyjscy bez wahania ogłosili w marcowych dniach rewolucyi, że Polska powinna być zjednoczoną i niepodległą, podczas gdy socyaliści włoscy, amerykańscy, czescy, a nawet rusińscy uznali, że Polacy mają prawo do zjednoczenia i niepodległości, socyaliści niemieccy w Austryi oświadczyli w Sztokholmie, że tylko Polacy w Królestwie Polskiem mają być obywatelami niepodległego państwa polskiego, a Polacy w Galicyi mają być nadal obywatelami prowincyi austryackiej, a dopiero kiedyś w przyszłości będzie to małe i słabe Królestwo umawiało się ze zwycięską Austryą o to, czy i w jakich warunkach może Galicya być przyłączoną do Polski. Chodziło bowiem tym ciekawym socyalistom o to, że Galicya ma węgiel i ropę, której w Alpach niema. Chodziło o dług państwa wobec zniszczonej wojną Galicyi. Zamiast Polski obiecywali nam: refor-

mę gminną i reformę administracyi w Austryi. Z wielkiej sprawy narodu walczącego o byt państwowy chcieli zrobić tylko sprawę swoich korzyści, nie chcąc widzieć naszych szkód, a przedewszystkiem: nie uznając pierwotnego naszego prawa, jako proletaryuszów i jako Polaków".

Zarówno berliński „Vorwärts", jak wiedeńska „Arbeiter-Zeitung", główne organy partyjne, które świeżo jeszcze reklamowały ogłoszoną w Piotrogrodzie zasadę „samookreślenia" narodów, zapomniały o tej zasadzie, gdy przyszło ją zastosować do własnych Polaków galicyjskich

„Głębiej patrząc na te smutne zjawiska, spostrzegamy, że towarzysze wiedeńscy nie zdają sobie sprawy ani z materyalnych, ani z moralnych zmian, jakie kraj nasz pod bezpośrednim wpływem wojny przebywa. Oni wojnę znają tylko jako brak swobód politycznych i brak aprowizacyi, a nie rozumieją absolutnie narodowego czynnika w wojnie, który wybił się w Polsce do najwyższego znaczenia. Oni, narodowo przesyceni, wojną bezpośrednio nie dotknięci, nie mający ani obaw, ani nadziei narodowych z powodu swojego geograficznego i politycznego położenia, dziwią się i gorszą, że my polscy socyaliści mamy i obawy i nadzieje narodowe".

Wobec tego niema już chyba mowy o ponownem sprzymierzeniu się partyi „Naprzodu" z zastępem Adlera, ale raczej można się spodziewać, że rozkład socyalizmu będzie dalsze i szybkie czynić postępy.

Reforma prawa małżeńskiego w Turcyi. Tureckie prawo małżeńskie było dotąd nader zaniedbanem polem; teraz dopiero zostało przez specyalną komisyę opracowane. Nowe prawo weszło już w życie. Dotychczas było dla zawierania małżeństw miarodajnem odnośne prawo kościelne, obecnie i prawo państwowe przyszło do głosu. Dla chrześcijan, żydów i Mahometan oznacza nowe prawo wprowadzenie ślubów cywilnych. Duchownym wszelakich wyznań nie wolno odtąd błogosławić związków małżeńskich, zanim nie zostały zawarte przed sądem państwowym. Rozwody również muszą się odbywać wobec sądów państwowych. Ustawodawstwo w sprawach małżeńskich i wszystko, co z niem pozostaje w łączności, było dotychczas pozostawione chrześcijańskim i żydowskim gminom wyznaniowym, teraz przeszło na państwo. Gminom chrześcijańskim nie pozostało wiele z dawnej samodzielności. Szkolnictwo też pomału wymyka się z ich rąk, przechodząc na państwo. Próżne więzienia patryarchatów są jedynem przypomnieniem dawnej władzy sądowej tychże.

Szczegółowe postanowienia zawiera nowe prawo o zawieraniu małżeństw między Mahometanami. Dotychczas panowała na tem polu wielka samowola; małżeństwa mogły być łatwo zawierane, a jeszcze łatwiej rozwiązywane. Pod tym względem zaszła stanowcza zmiana. Wielożeństwo uznaje i nowe prawo. Jeżeli jednak muzułmanin pragnie drugą niewiastę pojąć za żonę, a ta żąda rozwodu z pierwszą małżonką, nie wolno temu żądaniu zadośćuczynić. Zawarcie małżeństwa musi być podane do publicznej wiadomości. Jako zdolne do zawierania małżeństw uznaje się dziewczęta w dziewiątym, chłopców w dwunastym roku życia. Po skończonym u dziewcząt siedmnastym, u chłopców ośmnastym roku życia, mogą być małżeństwa zupełnie swobodnie bez żadnych warunków zawierane. Przed dojściem do tego wieku wymaga się pozwolenia rodziców, lub opiekunów. Rozwody są utrudnione. Podczas gdy dotąd rozwód proponował mężczyzna, który też posiadał wszystkie prawa, kiedy kobieta wszelkich niemal praw była pozbawioną, nakazuje nowa ustawa uwzględnianie praw żony. Zanim się rozpocznie proces rozwodowy, należy przedsiębrać próbę pogodzenia małżonków. W tym celu ma być ustanowiony sąd polubowny, a w razie potrzeby także i wyższy, od którego orzeczenia niema odwołania. Nowe prawo normuje również kwestyę posagów, jakie mają obie strony wnosić. Małżeństwa zawarte pod przymusem uznaje się za nieważne.

Jak widzimy, prawo to oznacza wielki postęp, jeśli chodzi o małżeństwa mahometańskie. Zaprowadzenie zaś ślubów cywilnych w Turcyi dotyka małżeństw chrześcijan i żydów właściwie tylko formalnie. Małżeństwa w wieku dziecięcym u chrześcijan się nie zdarzają, wielożeństwo jest niedopuszczalne, a rozwody unormowane surowemi postanowieniami prawa kanonicznego.

Najsłabszym punktem w nowem tureckiem prawie są postanowienia o wieku, w którym mogą być zawierane małżeństwa. Że małżeństwa dzieci nie przyczyniają się do pomyślności społeczeństw, tego nie potrzeba uzasadniać. Kiedy jeszcze za panowania Abdul-Hamida mnożyły się małżeństwa dzieci, zarządził tenże, że dziewczęta nie mogą ich zawierać przed dwunastym rokiem życia. Nowe zaś prawo schodzi nawet na dziewiąty rok życia!

X. St. Sadowski.

Bibliografia.

X. Prof. Władysław Szczepański T. J. **Ewangelie na każdy dzień roku kościelnego.** Kraków 1917. Stron 322. Cena egz. opr. 6 kor.

O nowym przekładzie Ewangelii, dokonanym przez X. Wł. Szczepańskiego, była już kilkakrotnie mowa w Gaz. Kośc.: p. nry 18, 44, art. „Sine ira et studio"; 45, art. „Czy nowy dogmat?" Obszerniejszą zaś ocenę, nader pochlebną, prof. dra Jana Sajdaka drukujemy w „Miesięczniku Kat. i Wych.". Przekład ten uzyskał aprobatę całego Episkopatu polskiego i samego Ojca św. Benedykta XV. Teraz donosimy o osobnem wydaniu perykop ewangelicznych, które będzie również powitane z wdzięcznością przez nasze Duchowieństwo. Nie można wprawdzie uważać już dzisiaj tekstu nowego przekładu za oficyalny, kościelny (jak czytamy w „Wyjaśnieniu", zamieszczonem na czele książki), wyjąwszy te dyecezye, w których go XX. Biskupi wyraźnie polecili lub polecą do odczytywania z ambony; — ale nie wątpimy, że będzie on wkrótce wszędzie polecony, bo usuwa liczne trudności, które nastręcza przestarzałe i w wielu miejscach błędne tłumaczenie Wujka. Te trudności pobudzają nieraz kapłanów, jak stwierdza JE. X. Biskup Łosiński w liście do X. Szczepańskiego (p. „Słowo wstępne"), do dowolnego poprawiania i modernizowania tekstu Wujka, — czego nie możemy naturalnie polecać.

Wydanie perykop jest bardzo staranne i piękne.

X. A. P.

Leonard Bończa, aktor teatru im. Słowackiego w Krakowie. **O umiejętności mowy i wymowy.** Odczyt wygłoszony w Collegium Novum. Kraków 1917. Str. 54. Cena 1·65.

Mała ta, treściwa broszura obchodzi w pierwszym rzędzie nas księży. Wartość jej wzrasta, gdy zważymy że rzecz ta powstała nie przy zielonym stoliku, że to nie zbiór suchych, oderwanych wiadomości, ale wynik pracy zawodowej, umiłowanej, umocnionej nabytem doświadczeniem. Bo często piszą o wymowie tacy, którzy jej nie posiadają. Nie wynika z tego, by spostrzeżenia teoretyków były mylne. Owszem — zebrana wiedza niejedno wyjaśnia. Jednak wywodom tym, nieraz bardzo uczonym, brak czegoś. Bo słowo żywe inaczej brzmi w izbie uczonego, inaczej, gdy go słuchają tysiące zebranych.

Autor, cytując we wstępie Prusa: „Najwyższą Siłą w Naturze jest duch ludzki ze swymi organami: mową, grą fizyognomii i postawy" rozwija na podstawie przytoczonego zdania definicyę mowy. Mowa jest to połączenie słowa, mimiki i gestu. Definicya na pierwszy rzut oka może za obszerna, jednak prawdziwa. Po stwierdzeniu smutnego faktu, że w Polsce mówią przeważnie z błędami fonetycznymi, zaleca i uzasadnia jasno skuteczny środek przeciw rozpowszechnionej wadzie — głośne czytanie. We Francyi dzięki usiłowaniom Legouve'go dzieci czytają umiejętnie nie tylko w szkole, ale także w domu. Czytają w domu głośno, poprawnie, z zamiłowaniem. U nas zaniedbania wiele, nie tylko w szkole średniej, — ale

nawet na uniwersytecie. Uczniowie „wydają“ lekcyę jak gramofony, nie troszczą się całkiem o piękną wymowę. A przecież mowa nasza to skarb nieoceniony. Według Sienkiewicza „jedna z najwspanialszych na świecie, tak wspaniała, piękna i dźwięczna, że chyba tylko język dawnych Hellenów może się z nią porównać“.

Przyglądnijmy się więc instrumentowi, za pomocą którego te cudne dźwięki płyną w świat. Na pytanie to odpowiada autor w części pierwszej, ilustrując wywody swoje tablicą anatomiczną, według Zünd-Burguet. Ustęp o artykułowaniu dźwięków głosowych zasługuje na szczególną uwagę. Tutaj właśnie poznać praktyka, który precyzyjnie w kilku rzutach kreśli narodziny słowa. A więc dowiadujemy się, jak powstaje samogłoska i głoska, dalej, jak z tych dźwięków głosowych, przerobionych w spółgłoski, rodzą się zgłoski, wyrazy, zdania. „Skurczmy koniec języka w szpic, zostawiając po obu jego stronach wolne przewody i tak sformowanym koniuszkiem uderzmy o punkt, łączący zęby z podniebieniem, usłyszymy dźwięk suchy, ale konieczny w polskiej mowie — *l*. Jeżeli zaczerpniemy powietrza, przyczem zamkniemy mocno wargi i wypuścimy raptem głos, wytworzymy dźwięk b. Kombinacya dolnych warg i górnych zębów daje głoski w, f“. Czytając głośno ustęp o artykułowaniu i kontrolując siebie, z zadowoleniem spostrzegamy trafność wywodów autora. Ale najlepszy artysta nie zagra dobrze, jeśli instrument niestrojny. Stąd uwaga, byśmy się starali o pielęgnowanie instrumentu, — czyli narządu głosowego. Oczywista, że nowych wstęg głosowych nie można wprawić w krtań. Ale przez umiejętne ćwiczenie można i trzeba narząd głosowy uregulować. Zdrowe płuca, oddychanie normalne t. j. wdech krótki — wydech długi, krtań czysta, zęby całe — to wszystko konieczne do poprawnego wymawiania. A jak często my kapłani zapominamy o hygienie narządu głosowego!

Ale samo słowo, dźwięk, chociażby melodyjny, to jeszcze nie wszystko. By słowo żywe wywołało u drugich uśmiech jasny lub smutek, zgrozą zmroziło krew, lub rozpaliło płomieniem, — trzeba je koniecznie umocnić mimiką i gestem. Oczy „wymowne“, mięśnie twarzowe wyrobione i gest dobry umacniają słowo. Wszak wiemy, że czasami jeden umiejętny ruch większe sprawia wrażenie niż długie tyrady. Ale tego trzeba się uczyć. Zwracam uwagę, że mimika i gest to nie jest nic dodatkowego, jak niektórzy sądzą, ale jedno z drugiem organicznie powiązane. W naszych seminaryach, o ile wiem, czynnik mimiczno-gestykulacyjny nie wchodzi prawie wcale w rachubę.

W drugiej części odczytu poucza p. Bończa o wymowie. Wymowa to talent, to dar Boży, to skarb, który trzeba zbogacać i rozwijać. Czyni to specyalna umiejętność wymowy, inna w kaznodziejstwie, inna w polityce, inna w sądownictwie. Autor zna także nasze „fachowe“ dzieła: nie obcym mu jest Jungmann, widać, że czytał Schleinigera, którego cytuje i na którym się opiera. Słowem, książka pożyteczna, z której korzystać mogą nie tylko słuchacze teologii, ale i starsi bracia kapłani. Tutaj sprawdza się to, co mówi Goethe we Fauście: „Ein Komödiant kann einen Pfarrer lehren.“.

X. Struszkiewicz.

Casus conscientiae.

Obowiązki zbogaconego bankruta.

Często zdarza się, że kupiec „zbankrutuje“, jego majątek zostaje sądownie zajęty i sprzedany, ale mimo to wierzycielom dostaje się tylko część należytości, gdyż na resztę brak pokrycia w majątku bankruta. Jeśli człowiek taki zbogaci się później na nowo, czy jest obowiązany oddać dawnym wierzycielom pozostałą część długu, nie wypłaconą jeszcze przy „konkursie?“.

Stanowisko prawa i moralistów nie zawsze jednakowo zapatrywało się na obowiązki bankruta. W dawniejszych czasach dola dłużników niewypłacalnych nie należała do zbyt miłych. W wielu wypadkach spotykało ich to, o czem mówi Ewangelia: wrzucano ich do więzienia, dręczono, zaprzedawano z żoną, dziećmi w niewolę, a prawo rzymskie przyznawało nawet wierzycielom uprawnienie dzielenia się ich ciałem, stosownie do należącej się każdemu części długu. Inna rzecz, czy wierzyciele w praktyce korzystali z tego uprawnienia — ale bądź co bądź mogli posunąć się w użyciu środków zmuszenia dłużników lub ich przyjaciół do wypłacenia „ostatniego szelążka“ bardzo daleko, a niewypłacalny dłużnik był politycznie, gospodarczo a nawet religijnie zgubiony. Lecz surowe to prawo, nie czyniące żadnej różnicy między zawinienie a niezawinienie niewypłacalnym dłużnikiem i oddające wskutek tego nawet najuczciwszego, lecz nieszczęśliwego człowieka na łaskę i niełaskę wierzyciela, nie mogło utrzymać się w całej swojej srogości w czasach, gdy zaczęto więcej liczyć się z uczuciami ludzkości i wyrozumiałości dla nieszczęśliwych. Prawodawstwo wprowadza instytucyę „cessionis bonorum“ ustanawiając, że dłużnik n i e z a w i n i e n i e niewypłacalny, jeśli odda wierzycielom wszystko, co ma, nie może być za resztę więziony ani pozbawiony czci; z czasem przyznaje mu prawo możność zatrzymania z dóbr, po „cessio bonorum“ nabytych, tyle, ile potrzebnem mu było do życia i utrzymania swego stanu. Dopiero z reszty nowego majątku obowiązany był zwrócić wierzycielom pozostałą część długu.

Rozporządzenie to miało cel podwójny. Z uwięzienia dłużnika niezawinienie niewypłacalnego wierzyciel nie mógł mieć żadnej korzyści, sam zaś dłużnik, pozbawiony wolności bez własnej winy, nie miał możności poprawienia w czemkolwiek swego losu, owszem wskutek jego uwięzienia rodzina musiała się znaleźć w ostatecznej nędzy. Cessio bonorum usuwa to bezowocne i ekonomicznie szkodliwe, a zarazem nieludzkie dręczenie człowieka niewinnego. Dłużnik, pozostawiony na wolności, może dalej pracować, wytwarzać nowe dobra. Lecz aby mógł mieć zachętę do pracy i starania się o majątek, z którego z czasem mógłby wierzycielom oddać resztę należytości, musi mieć nadzieję, że z uzyskanego majątku i z pracy swojej sam także będzie miał korzyść. Tę pewność dawało mu prawo, rozporządzając, że ze zdobytego majątku po „cessio bonorum“, dopiero wtedy będzie zobowiązany oddać, co jeszcze winien, jeśli będzie to mógł uczynić bez pozbawienia się środków potrzebnych mu do życia według swego stanu (Por. de Lugo, de iustitia et iure, disp. XXI n. 35; Laymann, Theol. moral. III. tr. 11 c. 12 n. 5; Lessius, de iustitia et iure tr. 2 c. 16 n. 11; św. Alfons, Theol. moral. III. n. 699).

Przyznanie jednak udogodnień pewnych dłużnikom, niezawinienie niewypłacalnym, a oddającym swe dobra wierzycielom, mogło stać się zachętą dla niesumiennych do korzystania z tej instytucyi, celem pokrzywdzenia wierzycieli. Prawodawca musiał przeto starać się o zapobieżenie możliwym tu nadużyciom. Dlatego równocześnie z wprowadzeniem cessionis bonorum zagraża karami tym dłużnikom, którzyby zawinienie stali się niewypłacalnymi, a zwłaszcza niewypłacalność umyślnie w tym celu ogłosili, by przy pomocy cessyi zwolnić się od płacenia długu, albo oddanie odwlec z korzyścią dla siebie, a szkodą dla wierzyciela. Za zawinione przeto i oszukańcze bankructwo nakłada prawodawca odpowiednią karę, zastosowaną do winy dłużnika, a zarazem odmawia mu prawa korzystania z udogodnień, przyznanych dłużnikom niezawinienie niewypłacalnym.

Do rozporządzenia prawodawcy zaczęli stosować się także moraliści. Dłużnikowi „ex delicto“, niewypłacalnemu z własnej winy, lub chcącemu przez „cessio bonorum“ wywieść wierzycieli w pole, nie przyznają żadnych udogodnień. Obowiązki takich dłużników każą osądzać według zasad, odnoszących się do posiadacza rzeczy cudzej „w złej wierze“, a nawet każą im wynagrodzić całą szkodę, jaką wskutek ich winy i niezapłacenia długu na czas poniósł właściciel, oczywiście, jeśli z możliwości tej szkody zdawali sobie sprawę. (Por. de Lugo, XXI n. 39. 42; św. Alfons, III n. 669 — inaczej a bezpodstawnie Lessius 2 c. 16 n. 43). Natomiast dłużnikowi niezawinienie niewypłacalnemu pozwalają „w sumieniu“ korzystać z udogodnień, przyznanych mu przez prawodawcę. Owszem posuwają się nawet dalej. Gdy bowiem prawodawca nie pozwalał dłużnikowi nawet niezawinienie niewypłacalnemu nic zatrzymywać ze swego majątku przy „cessio bonorum“, to moraliści pozwalają tak jemu jak i tym, którym od niego należało się utrzymanie, zachować tyle, ile im potrzeba do

życia i utrzymania sprawiedliwie osiągniętego stanu. Theologi — mówi de Lugo XXI n. 41 — communiter dicunt, de bonis etiam ante habitis, posse debitorem retinere quantum satis est, ut tenuiter vivat secundum statum suum". A św. Alfons każe mu oddać wszystko, „retentis instrumentis artis et quae ad sustentationem... sunt necessaria (III n. 699, por. Lessius 2 c. 16 n. 42 45).

Czy jednak wtedy dłużnik taki może korzystać z udogodnienia, przyznanego przez prawo, każącego mu z nowo nabytego majątku dopiero wtedy oddawać resztę wierzytelności, gdy będzie to mógł uczynić bez szkody dla zachowania swego stanu? Moraliści odpowiadają na to pytanie ogółem, że kto nie stosuje się ściśle do prawa, nie może też korzystać z jego przywilejów. Ale w gruncie rzeczy to zastrzeżenie nie miało prawie żadnego praktycznego znaczenia. Dłużnik bowiem taki według nich nigdy nie może być w sumieniu obowiązany oddawać długu, pozbawiając się środków potrzebnych do utrzymania życia i stanu swego, więc choć coś zatrzymał z majątku, podległego „cessioni bonorum", zawsze będzie miał prawo konieczne sobie rzeczy zatrzymać, a dopiero z reszty ma spłacać długi. Różnicę między dłużnikiem, oddającym przy cessio bonorum wszystko, a zatrzymującym necessaria, praktycznie moraliści jedynie w tem zakładali, że — po dojściu do majątku — pierwszy mógł owe necessaria vitae et status brać nieco szerzej, drugi zaś ściślej (Por. de Lugo, XXI n 42).

Moraliści poszli w udogodnieniach dla dłużników jeszcze dalej. Pozwalają bowiem nawet temu dłużnikowi, który bankrutuje nie w tym wprawdzie celu, aby poszkodować wierzycieli, ale przecież z własnej winy, np. wskutek nieroztropnej gospodarki, nie pilnowania interesu, zatrzymać przy cessio bonorum to, co dla życia i utrzymania stanu jest mu konieczne (Lessius II c 16 n. 43), żądając jednak, by te necessaria ciaśniej brał niż dłużnik niezawiniony (de Lugo, XXI n. 42 por. n. 4), a nadto dodawali zastrzeżenie, że taki dłużnik nie może nic zachować ze swego majątku, jeśliby wskutek tego wierzyciel miał się znaleźć w gorszem od niego położeniu (Por. Lehmkuhl Theologia moral. I n. 1228). Melior est enim conditio innocentis.

Zasadniczo jednak moraliści podobnie jak i prawodawca nie zwalniali dłużnika nawet niezawinienie bankrutującego od spłaty nie oddanego jeszcze długu. „Vera tamen et communis doctorum sententia negat extingui obligationem solvendi quando fieri possit" — mówi de Lugo (XXI n. 40 por. Lessius II c. 16 n. 47, św. Alfons III n. 699, Lehmkuhl I. n. 1230), owszem zobowiązują go nawet, aby przez pracę i zabiegi starał się zebrać, co mu w tym celu potrzebne. „Remanet — mówi Laymann (tr. 2 c. 12 n. 5) — obligatus ad laborandum et acquirendum, ut solvat". Na razie bowiem wskutek niemożności oddania całej sumy ustępuje obowiązek zapłacenia wszystkiego, gdy jednak niemożność ustanie, odżyje w całej sile zobowiązanie, któremu dotąd nie uczynił dłużnik zadość.

Lecz już dawniej nie brak było moralistów, którzy próbowali z w o l n i ć dłużnika, niezawinienie bankrutującego, od płacenia wierzycielom ze zdobytego później majątku r e s z t y wierzytelności, której uzyskać nie mogli z oddanych im przy cessio dóbr. Mianowicie sądzili niektórzy, że przynajmniej wtedy, gdy „cessio bonorum fit modo ignominioso", już sama hańba, spadająca na dłużnika, jest niejako uzupełnieniem niezapłaconego długu. Ponieważ dłużnik już ukarany został za nieoddanie części długu przez hańbę na niego spadłą, nie może być zobowiązany do oddawania tej części później, wtedy bowiem niejako dwa razy by dług oddawał (por. Lessius II c. 16 n. 49). Zapatrywanie to jednak nie znalazło uznania u ogółu moralistów. Kary bowiem — mówi de Lugo (XXI. n. 40) — zawartej w hańbiącym sposobie przeprowadzania cessionis bonorum, nie wymierzano w tym celu, aby zwolnić dłużnika od płacenia reszty długu, ale aby go ukarać za przypuszczalne niedbalstwo (culpa iuridica), a zwłaszcza dlatego, aby innych zachęcić do większej pilności i ostrożności w prowadzeniu interesów.

(Dok. nast.) *X. Dr. Stan. Zegarliński.*

Wspomnienie pośmiertne.

Śp. X. Herman Kulisch.

(1838 — 1917)

Był to starej daty człowiek, o dawnym pokroju, na który składają się: pracowitość niezmordowana, charakter szlachetny, stałość zasad niezłomna.

Urodzony w Samborze, tam na różnych stanowiskach cały on prawie żywot swój przepędził. Był tylko — lat 2 — wikarym w Gorlicach, a rok jeden w Rymanowie, skąd przeniesiono go do Sambora do szkoły 3 kl. żeńskiej na katechetę i dyrektora. Szkoła ta, wkrótce przekształcona na 4 klasową, pod jego kierunkiem z roku na rok coraz lepszego nabywała rozgłosu. Tu właśnie dał on poznać się przełożonym swoim jako pedagog niezwykły, dlatego zamianowano go inspektorem szkolnym na powiat samborski.

Wtedy jednak po wsiach powiatu szkół jeszcze prawie nie było, on dopiero tworzył je i w kilku latach doprowadził do tego, że wioski tam nie było bez szkoły. Osobny ten jego talent organizacyjny rychło oceniła Rada szk. krajowa, a ponieważ w sąsiednim powiecie rudeckim trzeba też było zaprowadzać szkoły, więc i ten powiat mu przydzielono. I przez kilka lat z rzędu w obydwu tych powiatach sprawował on ciężki ten i bardzo odpowiedzialny zawód inspektorski ku zupełnemu władzy przełożonej zadowoleniu.

Jako inspektor surowym on był i wymagającym. Bywało, że do jednej i tej samej szkoły z rzędu z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień zaglądał, kiedy tego była potrzeba. I rzecz potrosze dziwna, że jednak podwładne mu nauczycielstwo ceniło go wysoko, że w sprawach swoich do niego zawsze się udawało z całem zaufaniem. Znało jego dla siebie życzliwość i to, że we wszystkiem jedynie się kierował sprawiedliwością. Wszak bywało, że i Radzie szk. krajowej się oparł, kiedy do jakiejś szkoły kandydata mu polecano, którego on uznawał za nieodpowiedniego.

Po długich latach inspektoratu przeszedł ś. p. X. Herman w stan spoczynku, rzetelnie zasłużonego. Odpoczynek jednakowoż nie leżał w jego charakterze, wszedł więc do Rady powiatowej i tu stał się wnet duszą jej i dobra powiatu opiekunem troskliwym. Wkrótce też zaszczycono go godnością wicemarszałka, później — i marszałka. Z tym tytułem zstąpił on do grobu.

Za jego marszałkostwa kwitnął też powiat pod wielu względami: drogi wszystkie do ładu tam przyszły, a na drogach tych mosty wszędzie betonowe, każda wioska zaś zaopatrzyła się bodaj w kilka studzien zdrowotnych.

Wszędzie zresztą, gdzie przyszło mu pracować, nie siedział daremnie, ale energiczną dłoń swoją do każdej sprawy przykładał. Tak było w Radzie miejskiej, tak i w kasach różnych, gdzie zajmował wpływowe stanowiska.

Lat 80 mając, paraliżem tknięty, legł na 6 tygodni na łożu boleści, a w pierwszym zaraz tygodniu pojednawszy się z Bogiem w św. Sakramentach, dnia 24-go

października żywota swego dokonał. Umarł, ale postać jego szlachetna, wyniosła, długo jeszcze długo żyć będzie w pamięci Samborzan.

Imię jego zresztą trwałemi głoskami tam zapisane, pozostawił bowiem wiekuistą tam pamiątkę po sobie w zapisie realności swojej na rzecz zubożałych mieszczan samborskich, polskiej narodowości. A realność to bogata, składa się bowiem z trzech parterowych domów murowanych i z ogrodu pół morgowego, o kilkaset kroków oddalonego od rynku. Dochód z realności tej służyć będzie odtąd na ratunek tych, co wstydzą się rękę po jałmużnę wyciągać.

Śmierć śp. X. Kulischa, choć w takim wieku oczekiwana, zabrała go jednak niespodzianie, bo zdrowie jego potężne lata mu całe życia jeszcze obiecywało. Z jednem on, umierając, z żalem pewnie się żegnał — z ogródkiem swoim kwiatowym, do którego ze świata sprowadzał drogie nawet okazy. W nim to wiosną, latem, jesienią wolne chwile przepędzał. Tu szczęśliwym się czuł, tu sił do pracy nabierał.

Przy licznym udziale duchowieństwa i całego prawie Sambora dnia 27 października spuszczono trumnę jego do grobu. R. i. p. **X. W. P.**

Z prasy peryodycznej.

„Posłaniec św. Antoniego z Padwy".

Miesięcznik ten, redagowany starannie i umiejętnie przez O. Ireneusza Kmiecika, rektora kolegium św. Antoniego we Lwowie (ul. Janowska 66), zasługuje bardzo na poparcie. W roczniku V, którego zeszyt ostatni (za grudzień r. b.) pojawił się w tych dniach, znajdujemy szereg artykułów o św. Antonim, o jego cnotach i łaskach, otrzymanych za jego przyczyną, dalej uwagi praktyczne i pouczające o wychowaniu, artykuły okolicznościowe, nauki dla Tercyarzy, przykłady i legendy. Prenumerata roczna wynosi tylko 3 kor. Zalecamy gorąco pisemko to Czcig. Współbraciom!

Red. Gazety Kość.

Z lwowskiego Koła XX. Katechetów.

We wtorek d. 4. grudnia odbędzie się lekcya próbna z historyi kościelnej (X. dra Szmyda) w gimn. żeńskiem p. Strzałkowskiej o godz. 11—12.

We środę 5. grudnia będzie przedmiotem obrad plan nauki religii dla szkoły polskiej.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyec. mohylewska.

Metropolitą mohylewskim zamianowany przez Ojca św. Biskup wileński X. Edward Roop.

Archidyec. lwowska ob. łac.

Przeznaczeni na posady kooperatorów: X. dr. Walenty Nabielec, po ukończeniu wyższych studyów teolog., do kościoła paraf. N. Panny Maryi Śnieżnej we Lwowie; X. Walenty Garczyński neomysta, do Monasterzysk.

Dyecezya przemyska.

Zmarł X. Jan Kudla, proboszcz w Łowcach; w 57 r. życia, a 33 r. kapł. *R. i. p.*

Na fundusz prasowy złożyli: X. Prałat Wawrzyniec Puchalski (z Wyznian) 50 koron; X. Karol Csesznak (ze Lwowa) 6 koron.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów
Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik. Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 77.